

Mickiewicz i ja – pisarze o Mickiewiczu: Z „Panem Tadeuszem” i „Wielką Improwizacją” spoufalcony...

Zbigniew Żakiewicz

wszyscy” – mnie nie dotyczy. Rozumiem, że pomysłodawcom ankiety zależy na osobistej wypowiedzi o Mickiewiczu, a nie na wypowiedzi historycznoliterackiej, do której zresztą nie mam kompetencji.

W drugiej klasie szkoły podstawowej przeczytałem *Lillę Wenedę* i od tego czasu jestem fanem Słowackiego. Ale doceniam artyzm poezji Mickiewicza, tak jak doceniam artyzm wielu innych poetów i pisarzy, którzy jednak nie są mi bliscy.

Mickiewicz nie miał wpływu na to, co piszę, natomiast jakiś wpływ miał Słowacki, ten prawdziwie surrealistyczny: z *Lilli Wenedy*, *Beatrice Cenci*, z obszernych fragmentów *Beniowskiego*. Nienawiść Mickiewicza do Słowackiego tym bardziej wytwarza we mnie barierę wobec Mickiewicza. Tak więc wolałbym odpowiadać na ankietę „Ja i Słowacki”.

Ale oczywiście doceniam artyzm Mickiewicza. Lubię *Zimę miejską*, w której sposób obrazowania zapowiada Przybosia. Lubię *Sonety* z ich perwersyjnym erotyzmem, odsłoniętym i zasłoniętym zarazem (*Dobranoc*). Lubię oksymorony *Sonetów krymskich* („Wpłynąłem na suchego przestwór oceanu” itd.). Lubię lingwistyczno-groteskowe wiersze typu *Golono, strzyżono*.

Z *Dziadów* wolę cz. IV i scenę Pustelnika z gałęzią, która to scena antycypuje teatr absurdu.

Bardziej interesuje mnie Mickiewicz, kiedy mówi o człowieku, będącym sam na sam z ciemnością istnienia, mniej interesuje mnie, kiedy mówi o sprawach narodowych. Tak więc wyróżnię tu jeszcze wiersze: *Widzenie, Nad wodą wielką i czystą, Gdy tu mój trup*.

Jednak bardzo rzadko wracam do Mickiewicza. O wiele częściej wracam do Słowackiego.

Na zakończenie tej krótkiej wypowiedzi dodam, że wychowałem się bardziej na literaturze anglosaskiej i francuskiej. Poza Słowackim i Leśmianem na obszarach tamtych literatur są moi ulubieni poeci i pisarze.

Zbigniew Żakiewicz

**Z Panem Tadeuszem
i Wielką Improwizacją spoufalony...**

Było lato 1942 roku, przemieszkivaliśmy z matką w czterdziestohektarowym folwarku Leonpole – górzystym, z pięcioma łaskami i Łysą Górą z wieżą triangulacyjną oznaczającą wysokość

294 metry. Folwark leżał jakieś 7 kilometrów od Krewa i Łosku, do Smorgoń było z 15 kilometrów. Za Rzeczpospolitą szlachecką należał on do powiatu oszmiańskiego, do miasteczka było równe 37 wiorst. Tam, po pierwszej wojnie, moja mama, ciotka i wujowie uczęszczali do gimnazjum.

Mieszkaliśmy w nie wykończonej połowie chaty (linia frontu I wojny), drugą zajmował Emilianowicz wyznaczony przez dziadka do pilnowania lasków, a latem owiec i cieliczek spędzanych z mająteczku Ponizie. Leżał on już na nizinie, między Zalesiem Ogińskich a na zachodzie – niegdyś radziwillowskimi Smorgoniami. Dziadek Oganowski zapisał folwark mamie w podzięce za opiekę nad babcią, która zmarła u nas w Mołodecznie w strasznym 1940 roku. Miała też co roku dawać na Mszę św. za dusze rodziców w parafialnym kościele w Łosku. W tym samym Łosku, gdzie w 1574 roku Szymon Budny przełożył na język polski Nowy Testament i wydrukował go w łoskiej drukarni założonej przez arianina, magnata Jana Kiszkę.

Dzisiaj widzę, że były to okolice mickiewiczowskie, a dziadkowe Ponizie (Niżany z *Rodu Abaczów*) – takim małym Soplicowem. A jakim widział świat wówczas dziesięcioletni chłopiec? – Oczywiście, był to świat wojny, ale też fascynacji odkrywanym krajobrazem Wyżyny Oszmiańskiej. W Mołodecznie było głodno, pozostał tam ojciec, a my z matką żyliśmy na małym archipelagu zaścianków szlacheckich, gdzie naszymi sąsiadami byli Kondratowicze, Oziewiczze, Ułańscy, Karczewscy, Markowscy, Gińczewscy, tatarskie chaty Siulków, a nieco dalej „chmurne i ludne” wsie białoruskie – Mysińszczyzna i Rymciele. W zasięgu pamięci i opowieści – Puszcza Nalibocka. Musieli tu również mieszkać Mickiewicz, gdyż ich groby znalazłem na cmentarzu w Lenkowszczyźnie, gdzie w 1945 roku pochowaliśmy ojca.

W to upalne lato, jeszcze spokojne od czerwonej partyzantki, która niezadługo miała z rozkazu Stalina mordować inteligencję i ziemiaństwo (działo się to wszak przed Stalingradem), zachorowałem na zapalenie zatok czołowych. W godzinach najcięższego bólu, który pojawiał się z regularnością zegarka, matka zaczęła czytać *Pana Tadeusza*. Musiała kryć się jakaś magia w Mickiewiczowskich strofach, skoro pamiętam to czytanie jako uśmierające lekarstwo. Sama treść arcypoeMATU nie zdziwiła mnie wcale: byłem święcie przekonany, że Mickiewicz opisuje coś dobrze i blisko mi znanego. – Czy przez tę naoczną, wciąż odkrywaną krainę zaścianków, lasów, jarów, bujnej przyrody Oszmiańszczyzny? – Czy może wynikało to z atawizmów rodowych, bo zarówno Oganowscy, jak babcini Śnitkowie (jej brat Śnitko służył u Zyberk Platterów), jak i Zakiewiczze, w tym mój ojciec, od pokoleń służąc Tysskiewiczom – byli wplątani w epokę i krajobraz duchowy Adama Mic-

kiewicz i w wiek XIX (dziadek Oganowski – rocznik 1848, ojciec mój – rocznik 1882).

Mijają dwa lata. Tyszkiewiczowski dwór w Mołodecznie płonie. Z matką i ojcem znów jesteśmy w Leonpolu. W białoruskiej szkółce w Lenkowszczyźnie uczy nas Julian Sierhiejewicz: białoruski poeta, znawca polskiej literatury, który dopiero co wrócił ze stalagu. Opowiada on nam, że spotkał (chyba w Nowogródzczyźnie?) staruszkę, która jeszcze pamiętała „naszego wielkiego poetę”, Adama Mickiewicza. Przyjmuję tę rewelację jako rzecz oczywistą, wszak brat babci Śnitko rozmawiał z inną staruszką o czasach napoleońskich: „Te Francuzy strasznie kradli i na baby lecieli. Ta babina schowała się w łożach nad rzeką. Oni szli, coś szwargotali, ale na szczęście młodej wówczas babiny nie znaleźli”.

Nic więc dziwnego, że w wypracowaniu domowym opisuję (wówczas jeszcze po polsku, co Sierhiejewicz tolerował) nasz ogród warzywny, przed oczyma mając nie ten, ale tamten, Mickiewiczowski – z *Pana Tadeusza*. Wówczas to Sierhiejewicz, szukający wszędzie samorodnych talentów, po przeczytaniu moich gryzmołów orzekł, że wyrośnie ze mnie „wielki białoruski poeta”. Sierhiejewicz swe pozytywistyczne i patriotyczne zapędy przyplacił łagrem, z którego wyszedł dopiero za Chruszczowa. Później wciąż był odkrywany jako samorodny talent, a po zdemaskowaniu jego „nacjonalistycznej” przeszłości znów zapomniany.

W lutym 1946 roku z Leonpola wyjeżdżamy z matką do Polski, trafiaamy do Łodzi. Zaczął się okres nieprzystosowania i wielkiej tęsknoty za utraconym. I oto, w 1964 roku, jadę jako rusycysta na półroczne stypendium do Moskwy. Odwiedzam Psków, Leningrad oraz, dzięki białoruskiemu pisarzowi Jance Brylowi – Mińsk i Mołodeczno. Dojeżdżamy aż do Bienicy, gdzie moi rodzice w siedemnastowiecznym kościele, pobernardyńskim, znanym z *Pamiętników kwatermistrza Ignacego Chodźki*, brali ślub i gdzie zostałem ochrzczony.

Po powrocie do kraju odczułem ogromny głód ponownej lektury *Pana Tadeusza*. Tym razem czytałem zachłystując się językiem, wspaniałą wyobraźnią i umiłowaniem szlacheckiej przeszłości. W ciągu paru miesięcy 1965 roku w jakimś transie napisałem *Ród Abaczów*, gdzie świadomie, nawet pastiszowymi cytatami, odniosłem się do Mickiewiczowskiego arcydzieła. U rdzenia tej książeczki leżała tęsknota za minionym, była to moja pieśń pożegnalna, w którą wplotłem rodzinną mitologię Oganowskich-Abaczów – o przekleństwie rodu i duchowym kazirodztwie. Świadomie zakończyłem swą rzecz stwierdzeniem, iż jest to obraz opisany przez świadka „ostatniego najazdu na Litwę”. Wszak ujrzałem kołchozową Wileńszczyznę i ugory po zaściankach,

których właściciele ocknęli się na zsyłce, nie wierząc, że muszą dobrowolnie zostawić swe rodowe gniazda i uchodzić za Niemen.

Po tej pierwszej, już dojrzałej lekcji Mickiewiczowskiej wyobraźni i stylistyki, chyba do końca pozostanę w nurcie tzw. północnej szkoły kresowej, gdzie konkretność rzeczy, reizm, łączy się z wyobraźnią wyzwoloną, a świat trwa w wiecznym dziś, prześwieconym metafizyką Przyrody.

Nie wiem, czy w tym miejscu wypada przyznać się do pierwszego grzechu mej pisarskiej młodości, w jakiś sposób związanego z Mickiewiczem? Przed debiutem książkowym i doświadczeniem z *Rodem Abaczów* napisałem mocno autobiograficzną groteskową opowieść: *Markigo*. Opisałem tam udręki dojrzewania i lęki dwudziestoparolatka, który został mężem i ojcem, zanim stał się człowiekiem dojrzałym i, oczywiście, pisarzem. Nikt tej powieści nie chciał w swoim czasie wydać, a był to 1959 rok. Na duchu podtrzymywał mnie tylko niezapomniany Zbigniew Bieńkowski. Książka wyszła dopiero po dwudziestu latach w Wydawnictwie Morskim, pod tytułem: *Markigo, albo komiczne przygody Marka Piekelnika*.

Poetykę tej groteski zawdzięczałem Gombrowiczowi, szczególnie *Ferdurke* i *Trans-Atlantykowi*, czego nie byłem wówczas świadom. Natomiast, nie wiedząc czemu, wciąż uważałem, że jest to moja Wielka Improwizacja. Nie tylko dlatego, że pisałem jednym tchem, w jakimś twórczym uniesieniu i natchnieniu. Nie. Wciąż przed oczyma miałem wzloty ducha Gustawa, który stał się Konradem (a również czułem obecność *Sobowótora* Dostojewskiego i dwóch walczących ze sobą Golladkinów).

Parę lat temu wysłuchałem *Wielką Improwizację* czytaną w radiu przez nieżyjącego już wielkiego aktora i nagle pojąłem siebie tamtego, dwudziestoparoletniego. *Markigo* był manifestacją *ego*, prześmiewczym wadzeniem się z losem, walką o własną duszę z groteskowym diabłem. Bohaterem jest świadom swego niespełnienia solipytyk, poddany ciężkim próbom. W grotesce powraca wojna, utracone Kresy, trwa walka o własne pisarskie imię.

Nie ulega wątpliwości, że czułem wówczas bliskość wielkiego Adama, który od dzieciństwa był dla mnie kimś swojskim, prawie sąsiedzkim, z kim mogłem się spoufalić, bo był też znad Niemna i Wilii, co ma „niebieskie lico”. A *Markigo* było przeinaczoną, przefiltrowaną przez gombrowiczowską poetykę moją Wielką Improwizacją...